POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień — *Dnia 12-go października 1946 r* — **Rok VIII. Nr. 41**

POLONIA W AMERYCE DZIAŁA

Od kilku tygodni przebywa na terenie Europy delegacja Kongresu Polonii amerykańskiej. Pierwszym etapem jej europejskiej podróży był Paryż, gdzie złożyła memorandum p. Byrnesowi i odbyła szereg rozmów z delegacjami na paryską konferencję „pokojową“. Z kolei przywódcy Polonii odwiedzili obozy polskich wysiedleńców w Niemczech, aby zapoznać się z ich losem i zorientować się, co w praktyce może uczynić Polonia, aby im pomóc. Ostatnim etapem wizyty jest Wielka Brytania, gdzie przedstawiciele sześciu milionów Amerykanów pochodzenia polskiego zetkną się po raz pierwszy bezpośrednio z przywódcami narodu polskiego na wygnaniu i poznają główny ośrodek polskiej emigracji politycznej.

Przyjazd do Europy prezesa Kongresu Karola Rozmarka, oraz wiceprezesów Ignacego Nurkiewicza i Franciszka Januszewskiego jest ważnym wydarzeniem w życiu Polonii. Stanowi on dowód, że wielka akcja polityczna Kongresu na rzecz niepodległości Polski stale wzmaga się i że Kongres nie ogranicza się już do terenu wewnętrznego, amerykańskiego, ale wychodzi na arenę międzynarodową. Po raz pierwszy Europa zachodnia ma sposobność dowiedzieć się, jakie stanowisko zajmuje ta poważna część społeczeństwa amerykańskiego, jaką stanowią Amerykanie pochodzenia polskiego.

Wydarzenia ostatnich lat sprawiły, że Polonii amerykańskiej przypada w udziale rola szczególnie doniosła. W dzisiejszym położeniu bowiem polityczna emigracja polska nie ma możności sprawić, by jej głos został w pełni wysłuchany. Natomiast Polonia amerykańska stanowi poważną siłę. Są to już dziś przeważnie obywatele amerykańscy, którzy rozporządzają poważnym atutem politycznym: kartką wyborczą. Nad ich głosem polityka amerykańska nie może już tak łatwo przejść do porządku dziennego. Polonia amerykańska, to największe dziś skupiska polskie na świecie, mogące mówić, co myślą; to potężne organizacje; to prasa polska o dużych nakładach reprezentująca ideę niepodległościową. Ostatnio to także moblizacja poważnych zasobów materialnych w postaci zbiórki funduszu miliona dolarów — na walkę o niepodległość Polski.

Rola Polaków amerykańskich jest tym większa, że właśnie w rękach państwa, którego są obywatelami, znajdują się dziś losy Polski. Stany Zjednoczone coraz bardziej nadają ton polityce światowej i decydują o stosunkach pomiędzy obozem demokratycznym, a tyranią wschodnią. Wielka Brytania nie uczyni dziś nic bez Ameryki. Inne państwa nie liczą się w ogóle.

Aby Polska mogła odzyskać wolność, Stany Zjednoczone muszą zrozumieć, że nie wystarcza zahamować dalszą ekspansję rosyjską i że nawet p. Byrnes, który to właśnie postawił sobie za cel, narażając się na ataki wszystkich zwolenników dalszego *appeasement*'u, nie idzie dość daleko. Program p. Byrnesa streszcza się w ostrzeganiu Rosji: „Ani kroku dalej, bo inaczej wojna“. Ale gdyby p. Byrnes postawił na swoim, to byłoby to jedynie...urzeczywistnieniem popieranej przez Wallace'a idei podziału świata na dwie strefy wpływów. I nie zapewniłoby bynajmniej pokoju.

Polska nie może być wolna tak długo, dopóki Ameryka nie przekona się, że Rosję trzeba zmusić do wyrzeczenia się jej podbojów. Tymczasem pomimo wielkiej zmiany, jaka w ciągu ostatniego roku w polityce amerykańskiej nastąpiła, kierownicy polityki nie chcą uznać tej prawdy i nadal upierają się przy Jałcie, nie zdobywając się zresztą nawet na to, by wymusić poszanowanie jałtańskich i poczdamskich zobowiązań w sprawie wyborów. Ostatnio polityka amerykańska popełniła w stosunku do Polski inny jeszcze błąd, gdy p. Byrnes w Stuttgarcie wypowiedział się za rewizją granicy polsko-niemieckiej ustalonej w Poczdamie.

Kongres Polonii walczy systematycznie i wytrwale o zmianę polityki amerykańskiej. Od samego początku wypowiedział on bezkompromisową walkę Jałcie, domagając się unieważnienia tego układu. Jego zdaniem Roosevelt nie miał w ogóle prawa, z punktu widzenia konstytucji amerykańskiej, wyrazić zgody na rozbiór Polski. Kongres domagał się też systematycznie cofnięcia uznania klice obcych agentów, których uznano jako rząd polski.

Jeśli chodzi o granice Polski, Polonia amerykańska domaga się ostatecznego zatwierdzenia granicy zachodniej, nie uznając jednak, by ziemie na zachodzie stanowić miały kompensatę za zagarnięcie przez Rosję polskich ziem wschodnich; jej zdaniem nowa granica na zachodzie jest kompensatą raczej za zniszczenia dokonane przez Niemców w Polsce, a zarazem koniecznością dla zapewnienia bezpieczeństwa Polski i Europy.

Punkt widzenia Kongresu znalazł wyraz w licznych memoriałach i wystąpieniach publicznych. W Paryżu Kongres raz jeszcze przedstawił swe żądania p. Byrnesowi, domagając się, by delegacja amerykańska przedłożyła całokształt zagadnienia polskiego konferencji paryskiej. Oczywiście Polonia nie łudziła się, że zdoła do tego p. Byrnesa nakłonić. Ani delegacja amerykańska, ani żadna inna nie ma ochoty dodawać do tych wszystkich zagadnień, które i tak już doprowadziły konferencję paryską do impasu, jeszcze jednego problemu. Łatwo zaś było stanąć na stanowisku, że charakter konferencji nie pozwala na wniesienie sprawy polskiej. Tak się też stało.

Niewątpliwie większe szanse mieć powinna próba poruszenia sprawy w Organizacji Narodów Zjednoczonych, powołanej do zajmowania się takimi właśnie groźbami dla pokoju, do jakich absolutnie zaliczyć trzeba położenie wytworzone przez okupację sowiecką Polski i narzucone jej rządy obcych agentów.

Pomimo jednak, iż nie było szans poruszenia sprawy polskiej na konferencji w Pałacu Luksemburskim, dobrze się stało, że delegacja Kongresu próbę taką podjęła. Jest rzeczą ważną, by ciągle światu o sprawie polskiej przypominać i nie dopuścić do tego, by została wśród wielu innych zagubiona.

Pobyt we Francji pozwolił też przedstawicielom Polonii amerykańskiej nawiązać łączność z jej młodszą siostrzycą — Polonią francuską i stał się dla tej ostatniej, borykającej się z wszelakimi trudnościami, wynikającymi z niepewnej i zatrutej akcją komunistyczną sytuacji we Francji, podnietą i bodźcem do wytrwania na stanowisku bezkompromisowej obrony niepodległości.

Szczególnie ważny był następny etap — obozy D.P. w Niemczech. Delegacja Kongresu przybyła do Niemiec w momencie, gdy masy wysiedleńców, pozbawione opieki oficerów łącznikowych, poddane zostały szczególnie silnej presji powrotowej. Pobyt w Niemczech dał delegacji sposobność zebrania danych o naciskach na wysiedleńców, o polityce władz amerykańskich, postulatach D.P.'ów i td. Na podstawie tych danych Kongres Polonii będzie mógł podjąć dalszą akcję w obronie nieszczęsnych wysiedleńców. Fakt, że p. Byrnes specjalnie prosił prezesa Rozmarka o przedstawienie mu po powrocie z Niemiec sprawozdania i wniosków, pozwala oczekiwać, że może przynajmniej w tej dziedzinie punkt widzenia Polonii zostanie wzięty pod uwagę.

Teraz przedstawiciele Polonii znajdą się wśród nas w Wielkiej Brytanii. Zetkną się z żołnierzem polskim i przekonają się, że pomimo demobilizacji — przeciw której Polonia w swoim czasie usilnie protestowała — żołnierz polski nie uważa swego zadania za skończone i zdecydowany jest na innych polach prowadzić dalej walkę o niepodległość Polski. My ze swej strony uświadomimy sobie lepiej jeszcze, niż dotąd, że w tej walce możemy liczyć na potężnego, a wytrwałego sprzymierzeńca — na sześć milionów sprzymierzeńców tej samej krwi.

KAZIMIERZ ALBAN

ATOM

Jeśli nie możesz być siłą,
A nawet ciałem człowieka,
To zostań jako symbol —
I czekaj.

Jeżeli w domu twym krwawo
Przemoc krząta się chytra,
Pamiętaj, że ty masz prawo —
I wytrwaj.

I ucz się każdej groźby
Na wszystkich krańcach świata,
A potem uderz i rozbij —
Jak atom.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

14 PUNKTÓW BULLITTA

Stanowcze oświadczenie Stalina w jego ostatnim wywiadzie, udzielonym A. Werth'owi, że światu nie grozi obecnie nowa wojna, nie jest żadnym dowodem istnienia „normalnych“ stosunków pokojowych, ale jedynie, jak to już słusznie zauważyli wnikliwi komentatorzy polityczni, próbą zażegnania grożącej nam zawieruchy. Najbardziej przyjaźni słuchacze z obu stron Oceanu odpowiedzieli Stalinowi życzeniem, aby w ślad za słowami dyktatora rosyjskiego poszły czyny. Póki one nie nastąpią, fakt podziału świata na dwa coraz to ściślej odgrodzone od siebie obozy pozostanie rzeczywistością, z którą musi się liczyć każdy polityk i każdy mąż stanu.

Zaufany zmarłego prezydenta Roosevelta, ambasador amerykański w Moskwie w latach 1933–36, a późniejszy ambasador Stanów Zjednoczonych w Paryżu, William C. Bullitt, napisał ostatnio pierwszorzędną książkę, w której szczerze i bez ogródek odsłonił niebezpieczeństwa, wynikające z istnienia na świecie wielkiego mocarstwa, w którym panuje ustrój dyktatorski.

Książka ambasadora Bullitta nosi znamienny tytuł „*The Great Globe Itself*“, co dałoby się np. przetłumaczyć „Chodzi o całą kulę ziemską“. Bullitt, który był jednym z najbardziej energicznych zwolenników uznania Sowietów przez Stany Zjednoczone, a potem gorącym rzecznikiem współpracy świata zachodniego z Rosją, doszedł po długich i smutnych doświadczeniach do przekonania, że Sowiety i ich „piąta kolumna“ prowadzą na całym świecie działalność wprost kryminalną, którą koniecznie należy zahamować.

Podobnie jak prezydent Woodrow Wilson, który wystąpił w r. 1917 z 14 punktami, zamykającymi dezyderaty powojennego pokojowego ustroju świata, p. Bullitt w książce swojej, która wywołała ogromne wrażenie na całym świecie i stała się ośrodkiem nienawistnych ataków ze strony sympatyków Rosji Sowieckiej — ujmuje wnioski, do których doszedł, w postaci własnych 14 punktów.

Są one tak istotne, że uważamy za nasz obowiązek zapoznać z nimi czytelnika polskiego w sposób krótki, ale dokładny.

Popierajcie możliwie energicznie Organizację Narodów Zjednoczonych — zaleca Bullitt w swoim 1. punkcie — ale nie zapominajcie o tym, że nie gwarantuje ona światu bezpieczeństwa, a to ze względu na prawo veta wielkich mocarstw. To prawo veta, użyte bądź przez Rosję, bądź też przez inne wielkie mocarstwo, może uniemożliwić wszelką akcję ONZ.

Punkt 2. Informujcie naród Stanów Zjednoczonych o wszystkich faktach, o których dowiadują się władze amerykańskie z tych terenów, gdzie wolność prasy dla Amerykanów jest w jakikolwiek sposób ograniczona.

Punkt 3. Przestańcie określać Związek Sowiecki we wszystkich oficjalnych oświadczeniach i wypowiedziach, jako „demokrację, miłującą pokój“, a traktujcie go realnie, t.j. jako totalitarną dyktaturę, mającą na celu zdobycie całego świata i zaprowadzenie w nim ustroju komunistycznego.

Punkt 4. Informujcie Kongres Stanów Zjednoczonych [t.j. Senat i Izbę Reprezentantów] o możliwości powstrzymania ekspansji imperializmu sowieckiego w Europie oraz na Dalekim i Bliskim Wschodzie. Jeżeli jesteśmy gotowi połączyć się z innymi demokracjami we wspólnej akcji dla przeciwstawienia się agresji sowieckiej — Stalin nie będzie śmiał rozpocząć z nami wojny.

Punkt 5. Utrzymujmy naszą przewagę lotniczą i powiększajmy produkcję bomby atomowej.

Punkt 6. Nie dajmy Związkowi Sowieckiemu bomby atomowej, ani nie udzielajmy mu żadnej pomocy gospodarczej lub finansowej, która mogłaby przyśpieszyć fabrykowanie takich samych bomb przez Rosję tak długo, póki trwa ona przy Wierze Komunistycznej, nakazującej podbicie całego świata.

Punkt 7. Pomagajcie demokracjom gospodarczo i finansowo.

Punkt 8. Rozwijajcie i wzmacniajcie Ligę Ogólno-Amerykańską, zgodnie z umową w Chapultepec. [Jest to uroczysty t.zw. „Akt“, zawarty w meksykańskiej miejscowości o powyższej nazwie, który dotyczy zacieśnienia węzłów współpracy pomiędzy wszystkimi państwami Ameryk Północnej, Środkowej i Południowej].

Punkt 9. Zacznijcie rozmowy, kładące podwaliny pod stworzenie Federacji Europejskich Państw Demokratycznych. Do tej federacji mogłyby przystąpić wszystkie te państwa, które nie są marionetkami, posiadają istotnie demokratyczne rządy i gwarantują swoim obywatelom jednostkowe prawa ludzkie.

Punkt 10. Zacznijcie rozmowy z innymi demokracjami, w celu przygotowania, w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych, wspólnej i natychmiastowej akcji przeciwko ewentualnym dalszym wypadkom agresji sowieckiej. Chodzi o to, aby doprowadzić ostatecznie do stworzenia, w ramach ONZ, Ligi Obrony Państw Demokratycznych, do której weszłyby Liga Ogólno-Amerykańska, Imperium Brytyjskie, Chiny i Federacja Europejska.

Punkt 11. Utrzymujcie stałą i czynną opozycję przeciwko usiłowaniom imperializmu sowieckiego, aby pochłonąć Mandżurię, Północną Koreę, Północne Chiny, Persję, Turcję i te państwa Europy Wschodniej, Środkowej i na Bałkanach, które są obecnie pod kontrolą sowiecką.

Punkt 12. Traktujcie Związek Sowiecki z największą przyzwoitością, sprawiedliwością („*with the most scrupulous fairness*“) i szczerością oraz na zasadach pełnej wzajemności. Respektujcie prawa Rosji, w myśl istniejących umów międzynarodowych i nalegajcie na to, aby Sowiety podobnie respektowały prawa nasze i innych państw demokratycznych.

Punkt 13. Informujcie codziennie narody Związku Sowieckiego w ich własnym języku, o tym, co dzieje się na świecie. Podkreślajcie, że zależy nam na ich wolności tak samo, jak na naszej własnej.

Punkt 14. Działajcie i używajcie waszych wpływów w innych demokracjach w duchu uniezależnienia się narodów, będących pod naszą lub ich kontrolą, tak, aby osiągnęły one ustrój demokratyczny i niepodległość oraz przystąpiły do Ligi Obrony Państw Demokratycznych.

Tak wyglądają „punkty“ ambasadora Bullitta, które spowodowały już wśród licznych komentatorów prawdziwy szał histeryczny. Te „punkty“ Bullitta, stanowiące przeciwieństwo nieszczęsnego *appeasement*'u, godzą nie tylko w komunistów i ich sympatyków, ale również w przerażonych, cicho stąpających t.zw. „liberałów“.

Kwintesencja myśli politycznej ambasadora Bullitta, który zaczął swoją karierę jako gorący poplecznik Sowietów, a po kilku latach ambasadorstwa w Moskwie i po zapoznaniu się na własne oczy z teorią i praktyką polityki komunistycznej na całym świecie, stał się chłodnym i trzeźwym krytykiem tego reżimu — zawarta jest w następującym paragrafie książki: „*Prezydent Truman oddziedziczył amerykańską politykę zagraniczną w stanie bankructwa. Poprzednik jego, prezydent Roosevelt, próbował rozegrać partię, ufając w swoją zdolność skłonienia Stalina do wszechświatowej współpracy niepodległych państw, zamiast narzucenia przez Rosję dyktatury komunistycznej na całym świecie. Na jesieni* 1945 *r., było już jasne dla wszystkich, którzy chcieli widzieć, że Związek Sowiecki zajął miejsce Niemiec, jako ucieleśnienie totalitarnego imperializmu i że cała polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych oparta była jedynie na pobożnych życzeniach*“.

Autor domaga się, jak widzimy, w sposób bardzo kategoryczny uświadomienia społeczeństwa amerykańskiego na temat prawdziwego oblicza Sowietów oraz przeciwstawienia się przez rząd St. Zjednoczonych imperializmowi Rosji i zagrożeniu świata komunistyczną międzynarodową piątą kolumną.

Ameryka powinna zorganizować Ligę prawdziwych demokracji, a jeżeli zaszłaby ku temu potrzeba, użyć bomby atomowej przeciwko Rosji.

Nie można się dziwić, że takie tezy, wysunięte przez człowieka, który dość długo odgrywał bardzo ważną rolę w kształtowaniu i wykonywaniu polityki zagranicznej swojego kraju, podziałały jak bomba. „Liberalny“ organ milionera chicagowskiego Marshall Fielda, nowojorski dziennik „*PM*“, wierny swojej zasadzie, że wolno krytykować wszystkich i wszystko, poza jednym jedynym tabu — Sowietami, zarzuca Bullittowi, że „pokropił swoją książkę rodzajem gorączkowej religijności, która ma więcej do czynienia z gorączką niż z religią“. Zwolennicy komunizmu nie mogą strawić takich np. prawd, że w Rosji 10 milionów więźniów politycznych — t.j. więcej niż cała ludność Belgii lub Holandii — wykonywa prace niewolnicze w rozmiarach, wobec których piramida Cheopsa jest dziecinną igraszką. „*P.M.*“ polemizuje z tą liczbą Bullitta w wyjątkowo niezręczny sposób. Krytyk b. ambasadora, niejaki Padover, pisze: „Statystyki Bullitta są po prostu wyssane z palca. Wielki bezstronny autorytet w tych sprawach, prof. Schuman, stwierdził, że Moskwa nigdy nie podała do wiadomości publicznej jakichkolwiek danych liczbowych o ilości więźniów w Związku Sowieckim. Nikt w ogóle nie miał sposobności zbadania tej sprawy na terytorium sowieckim“. Przypomina się, przy czytaniu takiej „obrony“ Sowietów, bajka Kryłowa o pustelniku i niedźwiedziu, który tak odganiał muchę, aż wreszcie zabił swego przyjaciela...

Bullitt wysuwa tezę ciągłości polityki rosyjskiej, a zwłaszcza ciągłości imperializmu białych i czerwonych carów. Poświęca on sporo uwag polityce zaborczej Rosji wobec Polski. Nieszczęsny Padover, któremu ani Mołotow-Ribbentrop ani Katarzyna III nie pasują do jego „koncepcji demokratycznych“, rzuca się na Bullitta: „Nieprawdą jest, że, jak pan napisał, Rosja zabrała Polskę w XVIII-ym wieku. Prawdą natomiast jest, że w rozbiorach polskich uczestniczyły także Austria i Prusy“.

Bardziej poważne krytyki przeczytać można w „*New York Herald Tribune*“, gdzie popisuje się Walter Lippmann, który zresztą, zdaniem znawców sceny politycznej w Ameryce, bardziej jest rozreklamowany w Europie, niż w swoim własnym rodzinnym kraju. Lippmann jest „realistą“. Stał się on m.in. rzecznikiem tezy, żeby nie prowadzić „polityki zagranicznej ponad własne siły“. Pan Lippmann, jako ostrożny doradca polityczny, ostrzega: „Rosja nigdy nie pozwoli na istnienie rządu polskiego, który mógłby być choć odrobinę podejrzany o nielojalność w stosunku do Sowietów“. Dlatego też chciałby p. Lippmann „pomóc demokracji polskiej“ przez spuszczenie zasłony milczenia nad sprawą polską w ogóle. „Nie wtrącajmy się w sprawy polityki polskiej. Nie mówmy o sprawach polskich nawet podczas bankietów, na podwieczorkach 'cocktailowych, ani w rozmowach z przyjezdnymi dygnitarzami lub dziennikarzami“.

Wobec takich ludzi, którzy biją rekord tchórzostwa w sprawach międzynarodowych, stała się książka ambasadora Bullitta prawdziwym powiewem świeżego powietrza. Autor pokazał różnicę pomiędzy „realistami“, uprawiającymi strusią politykę chowania głowy w piasek, a „idealistami“, uważającymi za swój elementarny obowiązek wytykanie zła, zwalczanie zła i czynne dążenie do zwycięstwa na świecie zasad prawdy i sprawiedliwości.

J. P. LAURENT

Przegląd tygodniowy

PO NORYMBERDZE

Za kilka dni wykonane zostaną wyroki norymberskie i ostatecznie zamknie się historia Trzeciej Rzeszy. Trwać jednak będzie przez długi jeszcze czas wielka debata na temat procesu w Norymberdze i decyzji Trybunału, które świat przyjął z nader mieszanymi uczuciami.

Nikt nie ma współczucia dla zbrodniarzy niemieckich. Raczej wielu ludzi mówi sobie, że nawet kara śmierci jest w gruncie rzeczy nieproporcjonalnie mała w stosunku do rozmiarów zbrodni dokonanych przez Niemcy. Stoimy bezradni wobec niemożliwości wymierzenia kar, któreby były na miarę tych potworności. Do tego dochodzi fakt, że Trybunał pragnął zróżniczkować winę oskarżonych i w rezultacie niektórzy z nich otrzymali tylko karę więzienia, a trzech zostało uniewinnionych. Jakże miałoby to nie drażnić milionów ludzi, którzy tak strasznie cierpieli pod rządzami hitlerowskimi?

Z drugiej strony, nie odczuwając najmniejszego współczucia dla skazanych, wielu ludzi na Zachodzie ma wątpliwości, czy można skazywać ludzi za coś, co nie było uznane za zbrodnię w chwili, gdy tego dokonywali i na podstawie prawa, które wówczas nie obowiązywało. Chodzi tu o zbrodnię wojny napastniczej, będącą jedną z podstaw oskarżenia i wyroku.

Wszyscy zgadzają się z tym, że agresja powinna być uważana za zbrodnię i że ci, którzy jej dokonali, powinni odpowiadać za nią również i indywidualnie. Ale faktem jest, że ani wówczas nie istniało, ani dziś jeszcze nie istnieje żadne prawodawstwo międzynarodowe, któreby traktowało wojnę napastniczą jako zbrodnię i przewidywało kary dla mężów stanu, winnych jej dokonania. Co więcej, takie same akty agresji dokonane przez Rosję nie są bynajmniej karane; przeciwnie, sowieccy wspólnicy ataku na Polskę zasiadali wśród sędziów i skazywali swych niemieckich towarzyszy za wspólnie dokonaną napaść. Jakże świat nie ma ustosunkować się z cynizmem do tego rodzaju karykatury sprawiedliwości?

BEZWARTOŚCIOWY PRECEDENS

Mniej wątpliwości czysto prawnych nasuwa skazanie zbrodniarzy niemieckich za zbrodnie wobec ludności cywilnej, jeńców wojennych i td. Podstawa prawna w tym wypadku była bezsporna. I tu jednak pojawia się ten sam problem, że drugie państwo totalne, które dokonywało i nadal dokonuje takich samych zbrodni, czyni to bezkarnie i zasiada najspokojniej w świecie na ławach sędziowskich i oskarżycielskich.

Dlatego trudno jest uważać wyroki norymberskie za wartościowy precedens. Naiwne są głosy niektórych pism, według których Norymberga stanie się ostrzeżeniem dla wszystkich przyszłych agresorów i powinna ich powstrzymać od rozpętania nowej wojny. Przyszli agresorzy wiedzą, że jeżeli wojnę wygrają, to będą mogli nawet sądzić swe ofiary! Jeżeli Norymberga będzie ostrzeżeniem, to tylko w tym sensie, że nie należy wojny przegrać. Ale o tym i tak każdy dyktator wie dobrze...

W gruncie rzeczy wyroki norymberskie uwypuklają jedynie fakt, że tylko wówczas można będzie liczyć na trwały pokój, gdy narzucone będą światu rządy prawa; innymi słowy warunkiem niezbędnym jest powstanie w tej czy innej postaci rządu światowego, mogącego wymusić poszanowanie prawa i ukarać napastnika bez względu na to, czy jest zwycięzcą czy zwyciężonym. Dopóki rządu światowego nie ma, Norymberga nie jest żadnym precedensem i z tego punktu widzenia wartości nie posiada.

Jeżeli dziś Stalin waha się z dokonaniem nowej napaści w ślad za tymi wszystkimi, których już dokonał, to nie dlatego, by odstraszał go los Goeringa i Ribbentropa, lecz dlatego, że nie jest pewny sukcesu.

ROZGRYWKA O TURCJĘ

Można uważać za rzecz pewną, że w chwili obecnej Moskwę od generalnej rozprawy z Turcją powstrzymuje tylko postawa St. Zjednoczonych, które wysłały na wody tureckie swe okręty wojenne i popierają opór turecki. Dlatego także wielki wysiłek będzie włożony w to, by odwieść Stany Zjednoczone od tak daleko idącego interesowania się losem Turcji.

Spore nadzieje wiązała Moskwa z możliwościami wykazania opinii amerykańskiej, że interwencja taka leży jedynie w interesie „imperializmu brytyjskiego" i że Stany Zjednoczone nie powinny się mieszać do tego przeszło stuletniego sporu rosyjsko-brytyjskiego. Ale te nadzieje zawiodły. Sama W. Brytania stara się wykazać swymi posunięcami, jak np. doradzaniem Turcji prowadzenia bezpośrednich rozmów z Rosją, że nie jest bynajmniej główną przeszkodą na drodze do porozumienia. Nie jest też bodaj rzeczą przypadku, że właśnie teraz, gdy zaostrza się sprawa Cieśnin, pojawiają się w prasie brytyjskiej, jak np. w „*Observer*", rozważania na temat możliwości przeniesienia baz brytyjskich z Morza Śródziemnego na Ocean Indyjski i wycofania w ogóle sił brytyjskich z Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Nie brak w W. Brytanii dążności do radykalnego zredukowania zobowiązań wojskowych. Konieczność wycofania wojsk z Egiptu i przyznanie niepodległości Indiom stwarzają nową sytuację, w której droga przez Morze Śródziemne traci wiele ze swego znaczenia, jako arteria imperialna.

Tym większa rola przypada w udziale St. Zjednoczonym, które jeszcze wyraźniej przejąć muszą tradycyjne zadanie W. Brytanii we wschodniej części Morza Śródziemnego.

Komplikuje tu położenie sprawa palestyńska. Ameryka szykując się do odegrania doniosłej roli w tym rejonie, nie chcąc dopuścić do ekspasji sowieckiej i ponadto zainteresowana coraz bardziej w nafcie Środkowego Wschodu, zwłaszcza Arabii Saudyjskiej, nie może pozwolić sobie na konflikt z Arabami. Z drugiej strony interesy wyborcze administracji prez. Trumana powodują coraz to nowe interwencje na rzecz imigracji żydowskiej do Palestyny. Rezultatem są łamańce polityczne, które nie podnoszą prestiżu Ameryki, a ponadto wywołują zadrażnienia anglo-amerykańskie, z których korzyść mogą odnieść tylko Sowiety.

PRÓBA, KTÓRA NIE NASTĄPIŁA

Nazajutrz po wywiadzie Stalina oczekiwano zresztą w ogóle sowieckiej próby rozbicia solidarności anglo-amerykańskiej. Dużo mówiło się o tym, że Stalin ofiarowuje W. Brytanii rolę pośrednika pomiędzy Rosją a St. Zjednoczonymi. Możliwość taka była z niepokojem brana pod uwagę przez publicystykę amerykańską, a w samej W. Brytanii wzmogła się kampania przeciw zbyt ścisłemu wiązaniu się z Ameryką.

Jednakże w ślad za wywiadem Stalina nie nastąpiły żadne dalsze próby zbliżenia rosyjsko-brytyjskiego. Kampania propagandowa przeciw W. Brytanii bynajmniej nie osłabła i jest równie gwałtowna, co kampania przeciw Ameryce. W rezultacie nie bardzo wiadomo, dlaczego Stalin w ogóle wprowadzał pewne rozróżnienie pomiędzy W. Brytanią, a St. Zjednoczonymi.

Być może czynnikiem decydującym jest kryzys wewnętrzny w Rosji, który nie sprzyja żadnemu odprężeniu w stosunkach międzynarodowych. Im bowiem trudniejsza staje się sytuacja wewnętrzna w Sowietach, tym silniej musi reżym podkreślać groźbę zewnętrzną, która ma cementować społeczeństwo rosyjskie.

KRYZYS W ROSJI

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że ten kryzys się wzmaga. Wprawdzie wiadomości, jakie nadchodzą z Rosji są skąpe, ale nawet na podstawie doniesień sowieckich można stwierdzić, że reżym czuje się poważnie zagrożony. Niepokój jego znajduje wyraz w czystce, która może jeszcze nie osiągnęła tych rozmiarów, co w latach trzydziestych, niemniej jednak zatacza coraz szersze kręgi.

Reżym widzi cały szereg niebezpieczeństw. Jednym z nich jest bunt przeciw systemowi kolektywnemu na wsi, przejawiający się w przywłaszczaniu sobie własności przez urzędników kołchozów. Drugim — niedostateczny entuzjazm literatury, teatru, a nawet muzyki dla reżymu. Przecież „nieczystości ideologiczne" zarzucono ostatnio nawet głośnemu kompozytorowi Szostakiewiczowi! Trzecim jest nastawienie powracających z zachodu żołnierzy, którym nie podobna już opowiadać bajek o nędzy w krajach kapitalistycznych i o „raju" w Sowietach. Czwartym — fermenty na Ukrainie. Sytuacja w samej partii również nie jest z punktu widzenia reżymu zadawalająca. Wreszcie, choć oczekiwany konflikt pomiędzy wojskiem, a partią nie nastąpił, to jednak obawa przed marszałkami nie znikła. Świeżo jeszcze zanotować można pogłoski o aresztowaniu b. dowódcy czerwonego lotnictwa marszałka Nowikowa.

Niektóre koła na Zachodzie wiążą wielkie nadzieje z tymi napięciami w Rosji. Liczą one, że kryzys wewnętrzny pozwoli na odepchnięcie Rosji na wschód i zmusi Kreml do zmiany polityki. Zwłaszcza duże nadzieje wiązane są z sytuacją gospodarczą w Sowietach. Trzeba jednak pamiętać, że trudności wewnętrzne nieraz już skłaniały dyktatorów do szukania dywersji zagranicznej.

Tymczasem w każdym razie jakiegolwiek poważniejszego odprężenia w stosunkach międzynarodowych stwierdzić nie można, pomimo iż po Stalinie również i marsz. Smuts imieniem Imperium brytyjskiego oraz Byrnes imieniem Ameryki, stwierdzili, że nie widzą „natychmiastowego" niebezpieczeństwa wojny.

Ciekawe byłoby zresztą wiedzieć co Byrnes lub Stalin rozumieją, używając określenia „natychmiastowe" lub „w chwili obecnej". Miesiąc? 6 miesięcy? Rok? Dwa lata? — Język mężów stanu stał się bardzo niejasny.

Londyn, 7 października 1946.

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Prasa brytyjska posiada wyjątkowy talent niedostrzegania tego, co jest niewygodne, kłopotliwe czy nieprzyjemne. Stąd też zadziwiające milczenie całej prasy codziennej, niedzielnej a nawet i tygodniowej na temat ostatnich wyzwań rzuconych W. Brytanii przez rząd warszawski. Na próżno szukałoby się komentarzy na temat ordynacji wyborczej, będącej zaprzeczeniem zobowiązań przyjętych przez reżym tymczasowy, lub pozbawienia obywatelstwa oficerów polskich, którzy walczyli u boku W. Brytanii. Jedynie katolicki „*Tablet*" stwierdza, że zbliża się wielka próba, którą pismo widzi zresztą dopiero po przeprowadzeniu w Polsce wyborów, a nie już teraz. Tygodnik ten stwierdza, że:

„o ile nie nastąpi wielka zmiana w polityce komunistycznej, która nie wydaje się prawdopodobna albo też po stronie brytyjskiej, haniebny odwrót, uznanie brytyjskie (dla rządu warszawskiego) będzie musiało być wstrzymane".

Poza „*Tablet*" żadne jednak pismo nie zdobyło się dotąd na jasne stwierdzenie, że W. Brytania musi cofnąć uznanie, które nastąpiło na podstawie zobowiązań wyraźnie dziś złamanych.

Są jednak zagadnienia polskie, które zahaczają tak silnie o interesy czysto brytyjskie, że nie podobna pominąć ich milczeniem. Należy do nich sprawa zatrudnienia Polaków w przemyśle i rolnictwie brytyjskim. Z dużym niepokojem omawia ten problem socjalistyczny tygodnik „*Tribune*", nawiązując do uchwał związków zawodowych górników, robotników budowlanych i robotników rolnych, które wszystkie wypowiedziały się przeciw zatrudnieniu Polaków. Pismo stara się podejść do sprawy ze zrozumieniem zarówno dla sytuacji Polaków, jak i dla obaw i zastrzeżeń *Trade Unionów*. Stwierdza ono, że powstają dwie żywotne sprawy:

„Po pierwsze co ma się stać z tymi żołnierzami narodu sojuszniczego, których najpierw p. Churchill, a następnie p. Bevin wziął pod opiekę brytyjską. Drugi problem, może jeszcze ważniejszy na dłuższą metę, dotyczy stanowiska brytyjskiego ruchu zawodowego wobec zatrudnienia obcych robotników w okresie krytycznego braku sił roboczych w W. Brytanii".

Na pierwsze pytanie „*Tribune*" nie znajduje pełnej odpowiedzi. Bierze w obronę żołnierzy polskich przed oszczerstwami Moskwy, której oskarżenia określa jako groteskowe, stwierdza, że nikt nie wypowiada się za tym, by ich „rzucić wilkom na pożarcie", wyraża nadzieję, że pewna liczba jeszcze zdecyduje się na powrót do Polski i pragnie, by ci, którzy pozostają, nie byli pod opieką *War Office'u*, lecz by sprawą wchłonięcia ich do przemysłu i rolnictwa brytyjskiego zajął się komitet reprezentujący ministerstwo pracy, Radę związków zawodowych i federacje pracodawców.

Rozważając powody opozycji świata pracy przeciw zatrudnieniu Polaków „*Tribune*" pisze:

„Jest rzeczą oczywistą, że fakty okresu po 1945 roku w zakresie pełnego zatrudnienia, braku sił roboczych zamiast bezrobocia i skutków upadku przyrostu ludności w ubiegłych dekadach, nie zostały jeszcze powszechnie zrozumiane. Wspomnienia świata robotniczego z ponurego okresu po poprzedniej wojnie, kiedy wykwalifokawani robotnicy wyrzucani byli na śmietnik lub wystawali w ogonkach po zasiłek dla bezrobotnych, nieprędko ulegną zatarciu. Rozpowszechnione jest przekonanie, że obecny brak rąk roboczych jest przejściowy i że musi znowu nastąpić bezrobocie. Ostry kryzys mieszkaniowy i brak artykułów w sklepach — to inne najważniejsze czynniki psychologiczne przemawiające przeciw gotowości ogółu do przyjęcia robotników obcych".

Tygodnik socjalistyczny wyraża słuszne zdanie, że obawy te są nieuzasadnione i cytuje szereg danych cyfrowych, wskazujących na katastrofalną sytuację W. Brytanii, jeśli chodzi o zasoby ludzkie. Sądzi więc, że należy uczynić więcej, niż dotąd, aby wytłumaczyć społeczeństwu, jaka jest sytuacja na rynku pracy.

Tym samym palącym zagadnieniem zajmuje się „*Catholic Herald*", który potępia stanowisko związków zawodowych:

„Niedorzecznością jest przeciwstawianie się użyciu cudzoziemskiej siły roboczej w dwu dziedzinach najbardziej cierpiących na brak rąk do pracy — w rolnictwie i w kopalniach węgla, które zajmują kluczowe pozycje w gospodarce narodowej... Mądrość i odwaga rządu będzie w znacznej mierze oceniona na podstawie jego gotowości do zajęcia zdecydowanego stanowiska przeciw tej bardzo istotnej groźbie dla narodu brytyjskiego".

Równie kategorycznie występuje w tej sprawie „*The Economist*". Głosy te wskazują, że problem nabiera dla gospodarki brytyjskiej wielkiego znaczenia.

* * *

Przemilczenie przez prasę brytyjską udziału Polaków w bitwie o W. Brytanię w artykułach rocznicowych sprowokowało marynarza norweskiego Kai Mossin'a do napisania pięknego listu do „*Time and Tide*". Parafrazując głośne powiedzenie Churchilla, pisze on ironicznie:

„Nigdy jeszcze w dziejach konfliktów ludzkich tak wiele nie było zapomniane przez tak licznych" ... Czyż jest W. Brytanią kraj, tak niewdzięczny wobec dzielnych ludzi, którzy dokonali tak wiele dla naszego wspólnego zwycięstwa? ...Pamiętajcie, że walczyli oni o waszą wolność i ta wolność jest wam zapewniona, podczas gdy nie uzyskali oni jeszcze wolności dla siebie samych. „Time and Tide" jest jedynym pismem brytyjskim, które należycie ocenia zasługi Polaków. Chciałbym więc wyrazić imieniem „Norweskich Przyjaciół Wolnej Polski" wdzięczność dla „Time and Tide" za wielkie dzieło, które spełnia. Życzę mu dalszych sukcesów w walce o szczęście i prawa ujarzmionych narodów Europy".

„*Time and Tide*" w pełni zasłużył na te słowa uznania.

LECTOR

Polska pod okupacją: walka o duszę młodzieży

REŻIM A MŁODZIEŻ

Reżim komunistyczny w Polsce zwraca pilną uwagę na młodzież, wiedząc dobrze, że od opanowania jej zależy w dużej mierze istnienie „demokracji ludowej" z takim mozołem dzisiaj zaprowadzanej.

Jak dotąd usiłowania komunistów na odcinku młodzieży nie zostały uwieńczone zbyt wielkim sukcesem. Młodzież nasza jest silnie przywiązana do wiary katolickiej i patriotyczna, a wroga obcym prądom wprowadzanym ze Wschodu. Niejednokrotnie też dygnitarze reżimowi żalili się publicznie na ten stosunek młodzieży, która nie chce czy też nie umie zrozumieć „ducha nowych czasów" oraz zapowiadali energiczne zajęcie się odcinkiem młodzieży.

Warto więc przyjrzeć się tym różnym posunięciom reżimu w walce o duszę młodzieży. Znając zaś metody komunistów, ich postępowanie bez skrupułów i wiedząc o środkach, jakimi rozporządzają, można mieć pewną obawę o wyniki tej tak nierównej walki.

Komuniści w Polsce dążą do owładnięcia młodzieży głównie przy pomocy własnych organizacji, wojska i szkoły.

ORGANIZACJE REŻIMOWE

Do czołowych organizacji reżimowych dla młodzieży należą: „Związek Walki Młodych" (ZWM), oraz na terenie uniwersyteckim: Akademicki ZWM „Życie". Należenie do tych organizacji daje liczne przywileje w dziedzinie kartek żywnościowych, odzieżowych, przy spędzaniu wakacji, w chodzeniu do teatrów i tp.

Członkom tych organizacji reżim wyznaczył rolę swej awangardy. Niedawno temu odbył się zjazd ogólnopolski ZWM w Warszawie, na którym przywódca komunistów w Polsce Władysław Gomółka tak określił zadania i rolę członków ZWM:

„ZWM-owcy muszą umieć nie tylko pracować — cytujemy za „Głosem Ludu" (nr. 595) — *ale muszą również umieć dobrze walczyć z wrogiem. Winni przodować nie tylko na froncie pracy, ale i na froncie walki o Polskę Ludową.*

„ZWM-owców nie może braknąć w szeregach Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, nie może ich braknąć nigdzie, gdzie toczy się walka z wrogiem. Wszędzie, gdzie są ZWM-owcy, winni być przykładem i ofiarnymi żołnierzami demokracji ludowej. ZWM-owcy są bowiem demokratyczną awangardą młodego pokolenia Polski.

„Nasza idea — to idea pokoju między narodami świata, idea sojuszu polsko-radzieckiego i braterstwa narodów słowiańskich. Nasza idea — to Polska w granicach nad Odrą, Nisą i Bałtykiem. Wy, ZWM-owcy bądźcie chorążymi tej idei. Rozniecajcie ją po całej ziemi polskiej i wszczepiajcie w dusze naszej młodzieży. Budujcie na niej jedność szeregów wszystkich demokratycznych organizacyj młodzieżowych, jedność młodego pokolenia".

Według wskazań Gomółki ZWM-owcy mają nie tylko prowadzić walkę ideową wśród młodzieży, ale także mają być bojówką reżimu przez należenie do ORMO, organizacji podobnej do hitlerowskich SA czy SS.

WOJSKO W SŁUŻBIE KOMUNISTÓW

W dzisiejszej Polsce wojsko jest nie tylko zbrojnym ramieniem państwa, ale także — i kto wie czy nie głównie — środkiem do urabiania młodzieży w duchu komunistycznym. Organ komunistów „Głos Ludu" pisze o tym wyraźnie:

„Dokładamy wiele starań — czytamy w „Głosie Ludu" (nr. 617) — *aby wychować młode pokolenia na dobrych obywateli Rzeczypospolitej. Szczególnie doniosłą rolę, obok szkoły i organizacji młodzieżowych, może odegrać wojsko polskie. Okres służby w wojsku dla dwudziestoparoletniego chłopca może na niego wywrzeć poważny, o ile nie decydujący wpływ. Oczywiście jeśli obok wyszkolenia wojskowego i dyscypliny, obok wiadomości z zakresu wiedzy wojskowej poświęcać będzie swój czas podniesieniu wiedzy ogólnej, a nade wszystko, jeśli przejdzie odpowiednią szkołę wychowawczą w wojsku polskim.*

„Stwierdzić należy z całym uznaniem, że mimo szczupłości odpowiednich kadr, zrobiono na tym odcinku olbrzymi wysiłek i że praca oświatowo-wychowawcza w naszym wojsku rozwija się coraz lepiej. Jest to dla nas najlepszą gwarancją, że młodzież nasza zarówno w okresie trwania służby, jak i po opuszczeniu szeregów wojska nie zawiedzie naszych nadziei".

W rękach oficerów polityczno-wychowawczych czyli polskich „*politruków*" żołnierze stać się mają dobrymi „demokratami". Co to słowo dzisiaj w Polsce znaczy — wszyscy dobrze wiemy.

DZISIEJSZE SZKOŁY W POLSCE

Również i szkoła w dzisiejszej Polsce jest narzędziem urabiania młodzieży dla reżimu. Oto jak określa rolę szkoły komunistyczny „Głos Ludu" (nr. 631):

„... Wreszcie niemniej ważną sprawą jest ideologiczna jednolitość naszego szkolnictwa. Wychowanie szczerze demokratyczne; wyniesienie demokracji ludowej jako najcenniejszej zdobyczy narodu; ideał nowego obywatela, patrioty, społecznika; kult pracy; świadomość przynależności narodu polskiego do wielkiej rodziny narodów słowiańskich, wreszcie naczelne zadanie współczesnego pokolenia: odbudowa Polski z ruin pohitlerowskich i objęcia w nieodwracalne posiadanie ziem odzyskanych — oto części składowe tego duchowego klimatu, który powinien zapanować we wszystkich typach szkół".

Znając żargon reżimu, jego slogany i hasła rozumiemy w pełni, do czego ma dążyć szkoła polska, według wskazówek organu prasowego komunistów. Cele te zresztą są dziś realizowane w pełni w programach nauczania, w wydawanych podręcznikach szkolnych, w pisemkach dla dzieci.

MŁODZIEŻ WCIĄGANA DO POLITYKI

Podobnie jak we wszystkich państwach totalitarnych, jak w Rosji Sowieckiej, Niemczech hitlerowskich czy we Włoszech faszystowskich — młodzież w Polsce „demokracji ludowej" wciągana jest od najmłodszych lat w wir polityki.

Taka oto charakterystyczna notatka pojawiła się niedawno w „Głosie Ludu" (nr. 620):

„W połowie sierpnia br. staraniem Powiatowego Komitetu Polskiej Partii Robotniczej w Dzierżanowie (Dolny Śląsk) odbyło się otwarcie szkoły politycznej dla młodzieży. Uczniowie szkoły w liczbie około 60 mogą korzystać z internatu..."

Reżim panujący dzisiaj w Polsce sączy propagandę komunistyczną w dusze młodzieży nie tylko za pomocą specjalnych organizacji, szkoły i wojska, ale także przez organizowanie specjalnych „szkół politycznych dla młodzieży", równocześnie nakazując młodym ludziom wstępowanie do rezerwowych oddziałów milicji, których celem jest walka z bronią w ręku z „reakcją", „wrogami ludu", ze „zdrajcami i obcymi agentami".

Reżim narzucony Polsce przez obce mocarstwa wszelkimi sposobami pragnie się utrzymać przy władzy—wbrew woli narodu.

TADEUSZ NALER

OD ADMINISTRACJI

Od dn. 1 listopada 1946 spodziewana jest podwyżka przydziału papieru dla licencjonowanych periodyków na terenie Wielkiej Brytanii. W miarę możności technicznych będziemy dążyli zarówno do zwiększenia objętości „Polski Walczącej" do 6-u stron druku, jak i do bogatszej szaty graficznej. Ponadto będziemy mieli możność zaspokojenia wszystkich potrzeb z terenu. P. T. Odbiorców Hurtowych i Czytelników „Polski Walczącej" oraz tych wszystkich, którzy pragną regularnie otrzymywać „Polskę Walczącą" prosimy o kierowanie konkretnych zamówień pod adresem: „Fighting Poland" Trust, Business Offices, 69, Earls Court Square, London, S.W.5.

POSZUKIWANIA

Kpr. Ludomir CABUT, P/20 Polish Forces, B.A.O.R., poszukuje Wincentego CHACIŃSKIEGO, ur. w 1897 na Podolu. Służył w 29 Pułku Art. Polowej. Przebywał w Obozie Jeńców w Kozielsku. Ktokolwiek miałby o nim jakieś wiadomości, proszony jest o podanie pod powyższym adresem.

Aleksandra SUŁKIEWICZA z Warszawy prosi o podanie adresu Wacław ZEMBRZYCKI, Hodgemoor Wood Camp, Amersham, Bucks.

Polska droga przez Arnhem

Za Mozą płynie Waal, a za Waalem — Dolny Ren. Trzeba było we wrześniu 1944 roku przebrnąć przez zaporę tych trzech dużych rzek w Holandii, aby obejść od północy Linię Zygfryda i otworzyć sobie bramę do wnętrza Rzeszy Niemieckiej. Od powodzenia tej akcji zależało szybkie zakończenie wojny i może wtenczas wojna pozostawiłaby po sobie nieco inny układ polityczny.

Do rozegrania tej ważnej i trudnej bitwy powołano Aliancki Korpus Powietrzny pod dowództwem gen. bryt. Browninga. Amerykańska 101. Dywizja Powietrzna miała zdobyć most koło Grave, a przez to utorować drogę przez Mozę, amerykańska 82. Dywizja Powietrzna otrzymała zadanie uchwycenia wielkiego mostu na Waalu w Nijmegen, a zdobycie mostu na Dolnym Renie w Arnhem, tego najdalej położonego punktu, powierzono brytyjskiej 1. Dywizji Powietrznej wzmocnionej przez polską 1. Samodzielną Brygadę Spadochronową pod dowództwem gen. Sosabowskiego. Od południa posuwała się brytyjska 2. Armia (lądowa) gen. Dempsey'a, bo dla niej robiono ten przełom.

Desant ponad trzech dywizyj powietrznych — tego jeszcze historia wojen nie widziała! Niestety przerósł on możliwości lotnictwa transportowego sprzymierzonych, chociaż absolutna przewaga lotnicza nad Niemcami pozwoliła użyć do operacji, przeprowadzonej w świetle dziennym, wszystkich typów samolotów dostosowanych do transportu, a więc „Dakot", „Stirlingów", „Halifaxów" i „Albemarle". Z konieczności musiano zrzucić wojsko i zaopatrzenie w kilku rzutach, na czym ucierpiał tak ważny moment zaskoczenia.

Chociaż wojsko powietrzne zdobyło wszystkie mosty w stanie nieuszkodzonym, operacja nie osiągnęła spodziewanego sukcesu. Niemcy stawiając nadzwyczaj twardy opór, opóźnili posuwanie się wojsk lądowych, a w konsekwencji zdołali odbić most w Arnhem i wyprzeć napastnika z północnego brzegu rzeki. Kiedy 2. Armia, wyczerpana walkami, dotarła do Dolnego Renu, główne siły 1. Dywizji Powietrznej były już rozbite, a resztki broniły się zaciekle, osaczone ze wszystkich stron na przedmieściu Oosterbeek. Nic więc innego nie pozostało, jak pod osłoną nocy i ognia artylerii całego korpusu wydostać je z tej śmiertelnej pułapki. Z 10.095 żołnierzy 1. Dywizji Powietrznej nie powróciło 7.605!

Bitwa o Arnhem uważana jest przez oficjalnych sprawozdawców brytyjskiego Ministerstwa Informacji („By Air to Battle", His Majesty's Stationery Office, London 1945) za przykład bohaterstwa, któremu może dorównano w jakichś innych bitwach, ale którego nie przewyższono w żadnej innej — w ciągu całej sławnej historii wojen Imperium Brytyjskiego. W tej bitwie ramię w ramię z Brytyjczykami walczyli Polacy i ci sami oficjalni sprawozdawcy stwierdzają, że Polacy wykazali „swoją przysłowiową waleczność".

Jaka była rola Polaków w tej sławnej bitwie? W każdym razie inna od wyznaczonej im w pierwotnym planie. Plan ten przewidywał, że polska Brygada Spadochronowa wyląduje w pobliżu południowego przyczółka mostu, podczas kiedy północny znajdzie się w rękach Brytyjczyków, a po przekroczeniu mostu przejdzie na wschodnie pozycje zdobytego miasta. Było to zadanie stosunkowo łatwe i lądowanie miało nastąpić w trzecim dniu zrzutów, co zadaje kłam wszelkim głupim lub perfidnym plotkom na temat „wysyłania Polaków na śmierć" i t.p.

Niepomyślny przebieg bitwy i zła pogoda w Anglii, która przez dwa dni uniemożliwiała start, spowodowały zmiany w planie. Oddziały brytyjskie przy moście zostały odcięte od reszty Dywizji i po zaciekłej, uporczywej walce zniszczone, a Brygada wylądowała na zrzutowisku przesuniętym bardziej na wschód i wywalczyła sobie drogę do miejsca przeprawy promem, który według nowego planu miał znajdować się w rękach Brytyjczyków. Okazało się jednak na miejscu, że ta zmiana w planie była już także nieaktualna, ponieważ Niemcy zniszczyli prom i silnym ogniem odepchnęli Dywizję od rzeki.

Brygada polska znalazła się więc w bardzo krytycznym położeniu. Nie posiadając własnych środków przeprawowych i pozbawiona pomocy ze strony Dywizji, która sama jej potrzebowała, Brygada nie mogła sforsować silnie bronionej rzeki, co później okazało się również niemożliwe dla bez porównania silniej uzbrojonych oddziałów lądowych. Okopano się więc wokół wsi Driel z zamiarem utrzymania się na południowym przyczółku rzeki, póki nie uda się jakimś sposobem przesiąknąć na brzeg północny, aby wzmocnić Dywizję.

Ten narzucony przez sytuację plan wykonywano z największym poświęceniem. Niemcy na próżno nacierali na Driel ze wszystkich stron przy silnym wsparciu artylerii i moździerzy zza rzeki. Ogień ten wyrządził największe straty i nie oszczędził nawet wyraźnie oznaczonego szpitala, w którym ginęli ranni żołnierze, a lekarze dokonywali operacyj w czasie, gdy waliły się ściany i sufity.

Przeprawy na północny brzeg miały charakter przekradania się na łodziach pod silnym ogniem moździerzy i karabinów maszynowych, a potem na brzegu pomiędzy stanowiskami nieprzyjacielskimi. Dlatego mogły odbywać się wyłącznie w nocy. Bohaterami tych przepraw byli przede wszystkim saperzy Brygady oraz żołnierze III. Batalionu Spadochronowego, który poniósł bolesne straty. Po śmierci dowódcy i jego zastępcy, resztkami tego batalionu dowodził podporucznik.

Rzut szybowcowy Brygady, który o parę dni wcześniej przybył na pole walki i lądował na prawym brzegu rzeki, walczył od początku do końca bezpośrednio w ramach Dywizji brytyjskiej. W jego skład wchodził między innymi dywizjon ppanc, t.zn. całe ciężkie uzbrojenie i częściowe obsługi dział, gdyż reszta wylądowała z Brygadą na spadochronach. Chociaż tak zdekompletowany i przerzedzony przez nadzwyczaj ryzykowne lądowanie, odpierał z powodzeniem natarcia niemieckiej broni pancernej, dopóki ostatnie działo nie wykruszyło się w walce. Z rzutu szybowcowego wyróżniła się również łączność, a polska radiostacja dzięki odwadze i sprawności obsługi pracowała do ostatka i w końcowej fazie bitwy stanowiła jedyny środek łączności dowódcy Dywizji gen. Urquharta.

Polska Brygada Spadochronowa w bitwie o Arnhem wypełniła bez reszty zadanie narzucone jej przez ciężką sytuację i odegrała ważną rolę, wzmacniając ginącą Dywizję, nie dopuszczając do odcięcia jej od południa i wytyczając kierunek posuwania się 2. Armii, co pozwoliło wycofać resztki oddziałów z północnego brzegu i usadowić się nad Dolnym Renem. To ostatnie jednak nie trwało długo, ponieważ Niemcy zatopili międzyrzecze Dolny Ren — Waal, które w ten sposób stało się aż do wiosny „ziemią niczyją".

Bitwa wojsk powietrznych o Arnhem została przegrana głównie dzięki nieoczekiwanie wielkiej przewadze nieprzyjaciela, ale właśnie dlatego była to — klęska pożyteczna. Bitwa ta okazała się w rzeczywistości dywersją na wielką skalę, która zadała nieprzyjacielowi straty wielkie, trudne w jego sytuacji do odrobienia i umożliwiła utrzymanie zdobytego obszaru nad Mozą i Waalem z nieuszkodzonymi mostami i z dużym miastem Nijmegen. Właśnie z tego obszaru dotykającego Reichswaldu i Dolnej Nadrenii wyszła w pół roku później wielka ofensywa, która jednym uderzeniem przełamała linię Renu i wpompowała siły alianckie w głąb Rzeszy Niemieckiej. Od tej chwili jej dni były policzone.

Ale to jeszcze nie wszystko, jeżeli chodzi o miejsce należne Arnhem w wojennych dziejach Polski. Bitwa ta była pierwszym bojem polskich wojsk powietrznych. Trzeba znać tę tak jeszcze świeżą i ultra-nowoczesną broń, aby zdać sobie sprawę, ile wysiłku musiało włożyć wojsko polskie na obczyźnie w powołanie do życia wielkiej jednostki spadochronowej. Ze wszystkich sprzymierzeńców poza Ameryką i W. Brytanią jedynie Polska zdobyła się na taki wkład w tej najbardziej ryzykownej dziedzinie wojowania.

Dlaczego to się stało? Czy to może była niepoważna ambicja, lekkomyślna gospodarka życiem ludzkim? Nic podobnego! Utworzenie polskich wojsk powietrznych było podyktowane potrzebą posiadania wyborowego i dobrze wyposażonego żołnierza, który mógłby w odpowiednim momencie natychmiast znaleźć się w Polsce i wzmocnić naród zrywający się do otwartej walki przeciw najeźdźcy. Ta myśl podsycała entuzjazm twórców i młodzieży, która wypełniła szeregi zarówno wojska powietrznego, jak i — lotnictwa. Tę potrzebę rozumiał kraj i nie jest rzeczą przypadku, że tkliwe ręce Polek wyhaftowały w mroku podziemi okupowanego kraju przepiękne sztandary, Wilno dla lotników, a Warszawa dla spadochroniarzy.

Każdy z nas wie, co uniemożliwiło polskim samolotom, szybowcom i spadochronom lądowanie na ojczystej ziemi. Ale tak lotnicy, jak i żołnierze powietrzni bijąc wroga na obcej ziemi udowodnili, że przeciwności losu, zamiast wsączać w ich serca zniechęcenie, wzbudzają w nich tylko upór i wolę niszczenia wroga gdziekolwiekby był — i choćby najkrótsze drogi miały przeistoczyć się w najdłuższe.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Pierwsze spotkania

— Najtrudniejsze są pierwsze kontakty — stwierdzają niedawno przybyli z Włoch żołnierze Drugiego Korpusu w barze hotelu „Pod Koroną" w Helmsley.

Oczywiście, chodzi o kontakty z Anglikami. Nie jest to, ściśle mówiąc pierwszy kontakt z Anglikami, ale pierwszy z ludnością na ziemi angielskiej. Poprzednie wyglądały inaczej, powstawały w warunkach, w których potrafi zacierać się różnica narodowości, maleć różnica języków, zniepozornieć zupełnie sprawa odrębności pochodzenia i zwyczajów. Pod ogniem nieprzyjacielskich dział, czy w furii wspólnego natarcia jest tylko wojna i jeden cel: zwyciężyć. A teraz jest pokój i sprawy do niedawna nieistotne stają się nagle ważne, w pewnym nawet sensie doniosłe, nieraz wręcz zasadnicze. Więc sprawa kontaktów się komplikuje i nabrzmiewa ciężarem.

Bar jest mały i ciasny, a żołnierzy jest dużo, gdyż o niecałą milę znajduje się obóz 2 Brygady Pancernej. W licznych barakach tego obozu, rozrzuconych na przestrzeni obszernego i malowniczego parku, znalazł się batalion komandosów oraz dwa — czwarty i szósty — pułki pancerne. Pierwszy kontakt z cywilami, ten właśnie najtrudniejszy, powstaje przeważnie w barze, w jednym z dwóch barów małego miasteczka Helmsley.

Początkowo obie strony patrzą na siebie raczej nieufnie. Anglicy lękają się pijanych Polaków, Polacy nie bez obaw oczekują chwili, w której upiją się Anglicy. Okazuje się jednak, że chociaż wieczór w barze jest długi, nikt się nie upija, pomimo że piwo leje się strumieniami. Ba, nie tylko piwo — z przepastnych zagłębień pod ladą, z jakichś schowków przemyślnych a pojemnych, wyciąga barman butelkę *whisky* i uroczyście rozlewa ją do szklanek.

— Polscy chłopcy cały czas pytają o wino — usprawiedliwia się przed rodakami ze swej niesłychanej rozrzutności. — *Sorry*, wina nie sfabrykuję, ale może będzie się im podobać nasza *whisky*, co? *Good, he?* — zwraca się do Polaków.

— *Very good* — przytakują uśmiechnięci pancerniacy. — *Good whisky, very, very...* — trzymają się uporczywie nawiązanego wreszcie tematu rozmowy. Gdy się tak diablo mało zna angielskich słów, alkohol wydaje się być najłatwiejszym wątkiem do utrzymania konwersacji.

Ale już tu i ówdzie któryś zielony beret komandosa, czy granatowy beret pancerniaka wyłamuje się z tego wspólnego frontu przy barowej ladzie. Chcieliby tu jeszcze postać, ale nie mogą. Muszą iść. To są ci najpierwsi, którzy przyjechali przed kilkoma tygodniami. Mają już swoich znajomych i nie dające się odroczyć obowiązki towarzyskie.

— Czeka na mnie bardzo ważny *appointment* — stwierdza jeden z nich z angielska. Reszta kiwa głowami z pełnym zrozumieniem. Ktoś wyciąga szybko notes, ołówek i zapisuje sobie nowe słowo.

— *Ap...poi...nt...ment* — sylabizuje, a potem pyta: — To znaczy randka, prawda?

Odpowiada mu jeden wielki i rozgłośny wybuch śmiechu. Śmieją się wszyscy. Polacy, którzy rozumieją znaczenie słowa „*appointment*", Polacy, którzy tego słowa nie rozumieją, lecz udają, że rozumieją, oraz wszyscy Anglicy, którzy zgodnie nic nie rozumieją, nie udają, że rozumieją, a śmieją się, bo się śmieją ci dziwni a tak w tej chwili zabawni Polacy.

Z takich *appointmentów*, które nic nie miały wspólnego z interesami, z wieczorów w *pubach*, ze spotkań na dancingach, z jakichś rozmów w parkach i wspólnych *cups of tea* powstał pierwszy, zapoznawczy wieczór w świetlicy czwartego pułku pancernego. Przeszło trzydzieści Angielek i Anglików przybyło z rewizytą do swych nowych przyjaciół. Nie, nie było w tym nic oficjalnego, nawet nie ułożono żadnego programu. Sprawa, tak jak ją ustawiono, wyglądała niezmiernie prosto: ponieważ Polacy znali i bywali u tych Anglików, ponieważ zwyczaj i dobre wychowanie wymagało, aby jeśli się u kogoś było, tego kogoś zaprosić do siebie, więc wczorajsi gospodarze stali się gośćmi u swych wczorajszych gości, w ich domu. Domem jest oczywiście, obóz, salonem — obozowa świetlica.

Potem przyszły dalsze zebrania. Później zjawiły się projekty założenia kantyny w Helmsley, zapowiedź zorganizowania koncertów i stałych wieczorów zapoznawczych. Program przyszłej pracy jest raczej szeroko nakreślony i stawia sobie za cel zbliżenie wzajemne przedstawicieli dwóch kultur, tak zdawało by się różnych, a tak często w istocie podobnych do siebie.

Na razie dużą przeszkodą jest, w znaczeniu jak najbardziej dosłownym i nie groźnym zresztą, brak wspólnego języka. Przez pierwsze dnie językiem tym był ... włoski, obficie uzupełniany gestami.

— *Mangare, signore, bono, multo* — zaprasza w Yorku Polaków do restauracji siwy kelner.

Dziś jednak postępy są już widoczne i język angielski doszedł do swych praw. Wśród Polaków nie ma nikogo, kto by paru słów, tych właśnie restauracyjnych, najbardziej prymitywnych i niezbędnych nie potrafił skleić w okrągłe zdanie, zabarwione uśmiechem. Są nawet tacy, którzy zapuszczają się w dłuższe dyskusje na temat klimatu i pogody. Naturalnie, nie dlatego mówią o pogodzie, aby nie było inny chzagadnień. Natomiast pogoda w tym roku dla ludzi, którzy tak długo byli pod upalnym słońcem Bliskiego Wschodu czy Włoch jest nieprzychylna w stopniu dotkliwym. Polacy więc pytają:

— Czy u was zawsze pada deszcz?

— Eh... — mamroczą niezadowoleni Anglicy.

Zainteresowanie Polaków sprawami pogody wydaje się im nieprzyzwoitością, a pytania z tej dziedziny są naprawdę żenujące. Cóż oni sobie wyobrażają, że pogoda jest zależna od ludzi? Że ma być wyłącznym miernikiem uczuć i nastrojów?

A tymczasem poczta w Helmsley załamuje się pod nawałem pracy. Zwrócono się z prośbą do żołnierzy, aby spróbowali część swych paczek do Polski nadawać w innych miasteczkach, czy chociażby w Yorku. Poczta, maleńki urząd w malutkim miasteczku zaangażowała nawet nowych pracowników, ale wciąż nie może podołać zwiększającemu się stale zakresowi swych obowiązków.

Żołnierze starają się pomóc swoim rodzinom w Kraju, chcą pomóc im jak najbardziej skutecznie. Gdzie tylko mogą skupują zużyte obuwie i ubrania. Zapobiegliwie starają się o odciążenie swych znajomych z zapasów rzeczy zbędnych i w kraju tak zamożnym, jak Anglia zajmujących niepotrzebnie miejsce. Plączą się po jakichś zakazanych składach starzyzny w Yorku. Wieczory spędzają na pracowitym układaniu, reperowaniu i pakowaniu uzyskanych rzeczy. Stoją w długich ogonkach, przed okienkami pocztowymi i w tych chwilach na twarzach ich uwidacznia się wyraz normalnie niespotykany, Anglikom zaś nieznany. Wyraz troski i tęsknoty.

Zdarza się, że ten i ów Anglik dostrzeże tę dziwną kolejkę i te twarze, nagle posmutniałe i spoważniałe. I czasem mieszkaniec tego kraju gestem bardzo nieangielskim, wyciąga rękę na powitanie.

— *Hallo, how are you* — mówi po prostu.

Ale uścisk ręki jest jakiś specjalnie mocny. Może nawet — serdeczny?...

MAREK ŚWIĘCICKI

Gawędy o W. Brytanii

„Fair play"

Słownictwo sportowe przeniknęło poważnie życie angielskie w rozmaitych dziedzinach. Sport uważa się za ten dział życia, w którym szczególnie trzeba zachować bezstronność i spokój sądu, albowiem zazwyczaj zawody sportowe budzą namiętności i stronniczość. Obiektywizm w dziedzinie sportu jest bardzo trudny do utrzymania: dla zawodników nie lada to próba charakteru, ażeby nie pójść na takie czy inne nadużycia, naciągania, dla sędziów, ażeby sędziować bez cienia stronniczości. Dlatego sport uważa się w Anglii za poważny miernik rzeczowości i sprawiedliwości.

W sporcie trzeba umieć nie tylko wygrać, ale przede wszystkim przegrać z honorem, spokojnie, bez urazy, w przekonaniu, że przeciwnik był albo lepszy albo miał większą dozę szczęścia. Anglicy wiedzą dobrze, że właśnie doza szczęścia odgrywa wielką rolę w życiu: w sporcie łut szczęścia jest konieczny i jakże często lepszy zawodnik przegrywa przez brak tego drobiazgu! Od wczesnej młodości uczy się angielskich chłopców umiejętności przegrywania i nieżywienia z tej racji urazy. Podanie ręki na boisku przeciwnikowi, który był albo lepszy albo miał większe szczęście jest owym gestem pogodzenia się z życiem, z wyrokiem sędziego. Przegrany — o ile był dobry a tylko pech sprawił, że przegrał — może zawsze liczyć na sympatię publiczności. Uzna ona, że był to dla przegranego „*hard luck*".

Z dziedziny sportu przeszło w życie tego kraju pojęcie *fair play*, a więc uczciwej gry. Z dziedziny sportu również przeniknęło powiedzenie: „*it isn't cricket*", co oznacza, że dane posunięcie czy akcja nie były właściwe. Albowiem gra w *cricket* — najbardziej chyba narodowy sport angielski, sport dla Anglików, wtajemniczonych w arkana tej gry — jest kamieniem probierczym tego, co jest uczciwe i *fair*, a co nie.

Fair play rozciąga się, jakeśmy rzekli, na wszelakie dziedziny życia. Wiąże się ono z poczuciem prawa i jest tego poczucia wyrazem. Człowiek oskarżony winien być w pełni wysłuchany: oto jest *fair play*. Człowiek pokrzywdzony winien mieć możność odwołania się do sądu, do opinii: oto jest *fair play*.

Ta cenna zasada, która sprawia, że pokrzywdzeni nie są tak łatwo zakrzykiwani w tym kraju, nie zawsze, niestety, działa. Albowiem dla pełnego działania *fair play* trzeba czujnej i zmobilizowanej opinii publicznej. Ta wielka siła — a zarazem instytucja — życia angielskiego (o której pozwolimy sobie powiedzieć słów parę w dalszych naszych „Gawędach") nie trwa w jednakim nasileniu. Są w dziejach Anglii chwile i okresy kiedy opinia publiczna słabnie. Wówczas i zasada *fair play* zaczyna na tym cierpieć.

Tego rodzaju osłabienie tętna opinii publicznej oglądaliśmy w dobie Monachium, kiedy reakcja ogółu nie była tak silna, jakby się należało spodziewać. Tego rodzaju spadek wrażliwości opinii publicznej zaznaczył się mniej więcej od połowy ostatniej wojny. Spadek ten spowodowany został szkodliwą ingerencją państwa w życie społeczne, otamowaniem swobody prasy, kneblowaniem pewnych protestów. Tym należy tłumaczyć załamanie się zasady *fair play*, która w życiu angielskim ma swoje wielkie i piękne karty.

Fair play bowiem nie tylko jest wolą poznania prawdy w stosunku do ludzi pokrzywdzonych czy oskarżonych. Jest on także wolą poznania prawdy co do siebie samych. *Fair play* to apel do bezstronności w odniesieniu do nas samych. I tak n.p. w takich trudnych zagadnieniach jak sprawa Indii czy Persji, można było spotkać — i dalej spotyka się w Anglii — głosy pełne godności, zdolności wzniesienia się ponad własne interesy i uprzedzenia.

Anglicy mają dalej — pomimo niewątpliwych wyrw i luk poczynionych wojną — godną podziwu zdolność bezstronnego sądzenia siebie samych. W mało którym kraju spotkać można tak dosadną krytykę własnych błędów, tak otwarte przyznawanie się do głupstw, niedopatrzeń, jak właśnie w Anglii. Uważać należy tę zdolność za jedną z najcenniejszych jaką posiada to społeczeństwo. A kto wie czy w ogóle nie za najbardziej, zdumiewającą cechę. Albowiem zarówno człowiek' który potrafi spojrzeć krytycznie na siebie, jak i społeczeństwo, które przyznaje się do pomyłek i głupstw, są istotami żywymi. Co więcej, wznosząc się ponad siebie samych, dokonują niejako wyzwolenia się z pęt przeszłości i tego wszystkiego, co nas krępuje i więzi.

Ta zdolność obiektywnego, nieuprzedzonego widzenia rzeczywistości jest jedną z najbardziej cennych lekcyj, jakie człowiek z kontynentu może wynieść z W. Brytanii. Zdolność spokojnego osądu, spojrzenia na wypadki z pewnego dystansu, ocenienia gry sił w sposób bezstronny i beznamiętny — oto rzeczy, których ogromnie brakuje narodom bardziej porywczym i rządzącym się uczuciami.

Ta właśnie cecha obiektywizmu i krytycznego wyrażania się o sobie samych sprawia, iż wiele książek angielskich z dziedziny historii czy polityki zbliża się do ideału bezstronności o wiele lepiej, aniżeli często zacietrzewione i stronnicze książki polityczne kontynentu. Anglik, wyznawca *understatement*, unikający przesady, dąży do uchwycenia równowagi, do zważenia rozmaitych motywów na szali. Ten jego spokój drażni nieraz cudzoziemca: uważa, że Anglik jest po prostu „rybą, która niczego nie czuje".

Wiele książek angielskich będzie cudzoziemca złościło, albowiem na każdym kroku będzie widział takie czy inne przytyki do własnego narodu, czy polityki; ale gdy spojrzy głębiej, dostrzeże, że w najlepszych swoich przejawach publicystyka angielska i pisarze polityczni tego kraju kierowani są wolą rzeczowości, godną pochwały chęcią ukazania gry sił, filozoficznym spokojem w poglądzie na rzeczy. Są to wielkie zwycięstwa myśli ludzkiej nad namiętnościami, sprawiedliwości — najbardziej chyba boskiej cechy człowieka — nad odruchami, jest to akt wyniesienia się ponad siebie, ponad nasze ludzkie małostki i spojrzenia na siebie, na świat, na rzeczy z wyższej płaszczyzny.

JAWNUTA

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

Hurra! Trzy razy „Hurra!“

Rodaku miłujący pokój, ciesz się! Dokonała się rzecz epokowa! Do tej pory wielcy mężowie stanu i poniżej stanu mówili nam co będzie — więc, że będzie sprawiedliwość, suwerenność, nietykalność, dobrobyt, integralność i wolność czteroprzymiotnikowa. Dopiero teraz z Kremla powiedziało nam „Słońce Narodów“ czego — nie będzie. Mianowicie nie będzie wojny!

Batiuszka nie wymienił taktownie innych rzeczy, których nie będzie. Więc n.p. nie powiedział, że nie będzie wolnej Europy i nie będzie wolnej Polski; że nie będzie wolnej myśli i wolnego słowa... Powiedział tylko, że nie będzie wojny.

Ach! Jeszcze jednej rzeczy nie będzie: ogłoszono oficjalnie z Kremla, że nie będzie w przyszłości nazwy: „Czerwona armia“ tylko „sowiecka“. Zmiana koloru, uważacie. Należy się spodziewać, że nie długo nie będzie wysokich butów, dziegciu, machorki i kradzionych „czasów“ na rękach zwycięzców. Imperializm, uważacie, mundury, epolety, tytuły.

Kto wie, czy nie doczekamy się takiego wynalazku jak „Sir Gusiew“, lub „Lord Gromyko“, kto wie, kto wie, czy nie doczekamy się koronacji na Kremlu i rządów miłościwie panującego Jego Królewskiej Mości Cesarza Azji i Imperatora Europy Dżugaszwili I, czyli Josipa Okrutnego.

Nie będzie wojny, nie będzie „czerwonej armii“. Ale co będzie? Na razie w Europie trwa nieustająca aktualna wystawa pod nazwą: „Brytania i Ameryka mogą to zrobić!“ Eksponaty są zadziwiające, tragiczne:

całe wzorowe, pokazowe obozy Polaków „Displaced Persons“ w Niemczech;

obozy tych nieszczęśliwców, którym jedynie Rosja ofiarowała swą „znaną“ gościnę;

zamknięte wzorowe pisma obozowe polskie i skasowane wzorowe szkoły polskie oraz grupy zlikwidowanych oficerów łącznikowych polskich.

Eksponatów ponad miarę! Myślę sobie, mili demokraci, że i myśmy powinni tu w Hyde Parku zorganizować wystawę pod nazwą: „Bierut może to zrobić“! Jako najbardziej atrakcyjnych wystawimy tu na mojej paczce na widok publiczny tych naszych 5 generałów i 75 oficerów, których wyrokiem Tymczasowego Nierządu Komunistycznego pozbawiono obywatelstwa polskiego. Piękna to może być wystawa!

Na piersiach tych obywateli błyszczą żołnierskie bojowe krzyże, zdobyte na polach bitew wojny. A wojna szła jeszcze wtedy — o Polskę suwerenną i nietkniętą w swych granicach. Istotnie wydaje mi się, że Bierut tym razem postąpił bardzo taktownie. Oni rzeczywiście — ci oficerowie — nie powinni być obywatelami takiej Polski, której „prezydentem“ i „pierwszym obywatelem“ jest były agent sowiecki tajny — dziś jawny. Może zrozumiał to nareszcie i Bieńkowski i Rutkowski i podszepnęli obydwaj Bierutowi tę pierwszą taktowną i rozumną radę.

Myślę, obywatelki i obywatele, że paszport nansenowski będzie miał w tych 80 wypadkach znaczenie jeszcze jednego krzyża zasługi.

Demokraci, zebrani wokół mojej paczki, czekajcie na dalsze ukazy bierutowskie, czytajcie je pilnie tak, jak niegdyś studiowaliście dziennik awansów, lub listę wygranych na Loterii Klasowej. Czytajcie, a gdy znajdziecie swoje imię, uderzcie się w piersi i zawołajcie wielkim głosem: „Odpuść mi, Słońce Narodów, zawiniłem walcząc o suwerenność i całość mojej Ojczyzny; teraz o Słońce! — zrozumiałem, że byłem dobrym Polakiem i za to Polakiem być przestałem! Amen!“

Muszę się wam przyznać, moi mili demokraci, że jest mi bardzo przykro, iż pominięto moją skromną osóbkę oratora mydłowego w tych bierutowskich awansach na dobrych Polaków. Jednak wszędzie kwitnie protekcja i nawet demokraci spod znaku sierpa i młota zaczynają od generalicji i grupy pułkowników! Dlaczego ja mam być gorszy? Że niby gadam w Hyde Parku? Czy może nie jestem dobrym Polakiem? A jeżeli jestem dobrym Polakiem — to dlaczego jeszcze jestem Polakiem? Może dlatego, że jeszcze nie zapisałem się do P.K.P.R. czyli do organizacji pod nazwą: „Przetrwamy Komunę Pepeerowsko-Radziecką“. Zrobię to na pewno, gdy przyjdzie moja kolej. A co potem, to zobaczymy...

Na razie w każdym razie dobrze, że ludzie gadają o pokoju, skoro o pokoju nie ma mowy.

Żegnam was aktualnym potrójnym zawołaniem:

„Precz z „Czerwoną armią“! Niech żyje Król Josip Okrutny!“

„Oglądajcie krótkotrwałą wystawę: „Bierut może to zrobić!“

„Niech żyją Polacy, którzy przestali być Polakami, bo byli zbyt dobrymi Polakami!“

Do usłyszenia za tydzień na tej samej paczce, o tej samej porze, na tym samym miejscu.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że celem przyjścia z pomocą Polakom, pragnącym zapewnić sobie przyszłość, otwieramy na łamach „Polski Walczącej“ specjalny dział ogłoszeń o ofiarowaniu lub poszukiwaniu pracy po zniżonej taryfie:

Jednokrotne	**ogłoszenie**	**4d.**	**za słowo**
Dwukrotne	„	**6d.**	„ „
Trzykrotne	„	**8d.**	„ „

WYDAJE „FIGHTING POLAND“ TRUST
Adres Redakcji (Editorial Offices): 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d., kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST“ pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 6d. za słowo, dwukrotne 9d. za słowo, trzykrotne 1 sh. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 4d., dwukrotne 6d., trzykrotne 8d. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600